

CZERWONA PLAMA

Ze statku zszedłem razem z odprawą. Kręciłem się trochę po kei¹, nie bardzo wiedząc, co z sobą począć. Odruchowo odczytałem wejściowe zanurzenia, obejrzałem sterany kadłub mojego statku, nogą sprawdziłem napięcie cum. Korciło mnie pójście do miasta. Spojrzałem na statek, na ludzi podłączających załadunkowy wąż, którzy snuli się po kei bez animuszu. Machnąłem w końcu pierwszemu ręką, zawiąłem na pięcie i poszedłem w kierunku wyjściowej furtki.

„Furtkowy”, niemłody już, białoskóry Kubańczyk, sięgnął do kieszeni po klucz do kłódki, na którą furtka była zamknięta.

– Buenos tardes, Capitan² – przywitał mnie z szerokim uśmiechem.

Mimo džinsów, t-shirtu, adidasów na nogach i ogolonej na krótko głowy muszę jednak wyglądać na kapitana, a może on tak do każdego mówi?! Otworzył furtkę z kłódki i zaraz zamknął, gdy tylko znalazłem się po drugiej stronie.

Było już ciemno, a rzadko rozmieszczone latarnie nie dawały szansy na rozpoznanie rejonu. Jedno wiedziałem, że w prawo droga prowadzi do miasta, a w lewo do Harbour Master³ i pilotowego osiedla.

Miasto Mariel było odległe od miejsca mego cumowania może o jakieś dwa do trzech kilometrów. Nie rozglądałem się za żadnym środkiem komunikacji – to dobry wieczorny spacer, pomyślałem i ruszyłem lewą stroną jezdni w kierunku miasta.

Po prawej stronie miałem zatokę, której brzeg był tu pełen, pustych teraz, placów składowych. Po lewej zaś bujna zieleń biegła aż do pobliskich skalnych wzniesień. Zboczyć z drogi nigdzie nie można było, gdyż wzdłuż obu poboczy ciągnął się wysoki siatkowy płot zwieńczony drutem kolczastym. Co jakiś odcinek w płocie była furtka lub brama, przy której przeważnie stała budka z dyżurującym strażnikiem.

Gdy oddaliłem się nieco od portu, poczułem silniej zapach zieleni, a do uszu zaczęła docierać coraz głośniejsza muzyka wieczornych cykad, która, na szczęście rzadko, przerywały przejeżdżające samochody. Poczulem ulgę i dziwne uczucie wewnętrznej wolności. Bronilem się przed obejrzeniem wstecz – w stronę statku. Zresztą na pewno nie było go już widać. Długie odcinki między rzadkimi tutaj latarniami szedłem w zupełnej ciemności.

W pewnym momencie wyczułem instynktownie czyjaś obecność i w chwilę potem ktoś dotknął mojej ręki. Zatrzymałem się i wysiliłem wzrok, aby kogoś dojrzeć. Przy mnie stał murzyński chłopiec. Czarna twarz ginęła w ciemności, ale białka oczu, niczym fosforyzujące znaki, wskazywały miejsce, gdzie stał. Chłopiec miał może dziesięć, a może mniej lat. Był bosy i ubrany w wyrzuconą na wierzch krótkich spodni

¹ Keja (mor.) – nabrzeże w porcie, do którego cumują statki.

² Hiszp. – Dobry wieczór, kapitanie.

³ Ang. – Kapitanat = administracja portu.

bawełnianą koszulę. Jego dłoń, która mnie dotknęła, obróciła się w proszącym, żebraczym geście, a z potoku hiszpańskiej mowy nietrudno było wyłowić prośbę o pieniądze na jedzenie.

Nie bardzo mogłem mu pomóc – w kieszeni nie miałem ani centa. Nie wyszedłem na zakupy ani na hulanki – wyszedłem na spacer, tak jak stałem na kei, nie myśląc nawet o tym, że mogą być mi potrzebne jakiegokolwiek pieniądze. Rozłożyłem bezradnie ręce.

– Yo no tengo dinero⁴ – powtórzyłem parę razy, sięgając do bardzo starych, jeszcze z okresu pobytu w Peru, zasobów mojego hiszpańskiego.

Chłopiec widocznie przywykł do takich odpowiedzi, bo nadal natarczywie, niczym zacięta płyta, powtarzał swoją żebraczą prośbę. Ruszyłem dalej. Malec szedł obok, nie rezygnując z mego towarzystwa ani z powtarzania swojej roli. Zawsze źle się czuję, gdy nie mogę pomóc. Choć to jest odwieczny problem ubogich krajów, to zazwyczaj mam i rozdaję drobne monety dzieciom.

Wychowałem się w ubóstwie, ale nigdy nie musiałem żebrać. Czasem przelykałem ślinkę, jak ktoś, jeszcze w podstawowej szkole, wcinał bułkę z masłem i grubo krojoną szynką, ale tak naprawdę głodny nigdy nie byłem. Zawsze miałem talerz zupy czy ziemniaki z kapustą. Moje posiłki nieczęsto były kraszone, ale ich smak do dzisiaj pamiętam.

Teraz jestem średnio zamożnym facetem pochodzącym z kraju, gdzie mając pracę można obecnie kupić wszystko i właśnie depczę po ziemi, gdzie problemem jest kupienie warzyw, owoców, a co dopiero mięsa i gdzie nawet mając pieniądze nie można swobodnie kupić czegokolwiek. W końcu chłopiec zwątpił w moją pomoc, pozostał w tyle i zniknął w ciemnościach.

Ruch samochodowy na szosie łączącej port z miastem był niewielki. Najczęściej przejeżdżały ciężarówki lub autobusy, rzadko samochody osobowe. Te ostatnie były reprezentowane przez łady, żiguli, wołgi i inne pochodzące z komunistycznego świata. Większość tych samochodów była stara i zdezelowana. Czasem przejechał jakiś ford czy chrysler, ale najczęściej taki pamiętający czasy sprzed rewolucji. Niedostatek motoryzacji zastąpiły tu rowery i częstsze niż gdzie indziej stare motocykle z koszem u boku.

Pod jedną z mijanych latarni stała dziewczynka – czarna, chuda, wysoka. Włosy miała spięte w kok, a w uszach niewielkie kolczyki. Ubrana była w bardzo krótką czarną spódniczkę i w obszerną, dużo za dużą dzinsową kurtkę narzuconą na t-shirt. Wyglądała na kilkunastolatkę z podstawowej szkoły. Na latarni przyczepiona była jakaś tablica i pomyślałem, że to autobusowy przystanek.

– Hallo! Senior! Tu quiere chica?⁵ – usłyszałem zaczepny dziewczęcy głos, gdy ją mijalem.

Wzdrygnąłem się odruchowo. Chyba to pośredniczka – pomyślałem. W chwilę potem szła tuż obok mnie, natarczywie

⁴ Hiszp. – Ja nie mam pieniędzy.

⁵ Hiszp. – Halo, proszę pana! Nie potrzebuje pan dziewczyny?

namawiając na miłość. Chwytając mnie za rękę, próbowała zatrzymać. Dziewczyna zapewniała mnie o swojej doskonałości, o tym, że wie, co mi potrzeba i że umie wszystko, że na pewno będę zadowolony.

Przyspieszyłem kroku. „Uliczna dziewczyna” chwyciła mnie za rękę i przycisnęła do swojej piersi – błąd – przyszłej piersi. Nie było tam nic, co by choć trochę zainteresowało mężczyznę. Energicznie wyrwałem rękę z jej drobniutkich dłoni, którymi całą swoją dziecięcą mocą przyciskała moją potężną grabę do swego łona. Wyraźnie zagięła na mnie parol. Wybiegła przede mną i próbowała zainteresować sobą; to podnosząc t-shirt powyżej przyszłych piersi, to podciągając wąską spódniczkę do połowy bioder. Jej chude uda były szczuplejsze od moich ramion. Całą sobą wyrażała nadzieję, że coś zje jeszcze dzisiaj na kolację.

Boże! Gdybym miał z dziesięć dolarów, dałbym jej na odczepnego, choć dobrze wiem, że nie ma gestu, który rozwiązałby jakikolwiek problem. Droga była pusta. Ja szedłem już tak szybko, że dziewczynka nie wytrzymała mojego tempa i została zrezygnowana w tyle. Jeszcze z daleka słyszałem jej natarczywe pytanie:

– Por que no quiere chica?⁶

W głowie miałem bałagan. Wszystko, co przeżyłem, krążąc po świecie, przelatywało mi przed oczyma jak przewijane video. Szukałem podobieństw, analogii, jakichś porównań. Nie mogłem nacisnąć klawisza stop.

Coś jaśniejszego wyłoniło się na prawym poboczu. W miarę zbliżania się do owego jasnego punktu powoli go rozszyfrowywałem. Pomnik czy figura jakaś? W chwilę potem wszystko stało się oczywiste – wycięta z blachy, podparta od tyłu żelaznymi kątownikami, oświetlona od przodu, stała sporych rozmiarów postać Fidela Castro. U jego stóp była przykręcona solidnie biała tablica, na której czerwoną farbą napisano „SOCIALISMO O MUERTE!”⁷

Myśli moje pobiegły ku lekcjom historii tej, której ja jeszcze się uczyłem w szkole i tej, która pokatnie krążyła po inteligenckich domach. Nie, nie będę tutaj robił żadnej wiwisekcji, to nonsens. Każdy Polak wie sam najlepiej, jak było, w co wierzył i w co wierzy dzisiaj. Każdy ma własną historię, swoją i swojego narodu, tę, do której się dzisiaj przyznaje i tę, którą ukrywa przed swoim otoczeniem. Nie każdy może spojrzeć w lustro bez spuszczenia oczu.

Wyobrażałem sobie, że miasto zobaczę z oddali, kiedy minę zakręt wokół wzgórza, które je zasłaniało, że ujrzę światła, które mnie do niego wprowadzą. Myliłem się jednak.

W pewnym momencie zdałem sobie sprawę z tego, że idę już miejską ulicą. Po obu stronach wyłoniły się cienie ciemnych, słabo oświetlonych domów. W mieście więcej latarni niż za miastem stworzyło półmrok, w którym mogłem przyjrzeć się budynkom.

Domy były niskie, parterowe, nawet bez poddasza. Dachy płaskie lub nachylone. Większość ciągnęła się szpalerem nieprzerwanym – coś w

⁶ Hiszp. – Dlaczego nie chcesz dziewczyny?

⁷ Hiszp. – Socjalizm albo śmierć!

rodzaju naszych szeregowców. Wiele z nich sprawiało wrażenie tymczasowości lub nawet domku letniskowego. Rzadko który fragment tej zabudowy był zadbane. Z większości dawno poodpadał już tynk lub farba, jeśli były drewniane.

Początkowo ulica, którą szedłem, i boczne do niej dochodzące wydawały się zupełnie wyludnione. Z czasem pojawili się pierwsi przechodnie, którzy jak gdyby chyłkiem przebiegali z jednego domu do drugiego. Światło miastu dawały tylko te nieliczne latarnie, gdyż wszystkie okiennice były zawarte na głucho.

Było niewiele po siódmej, kiedy dotarłem do miasta, a wydawało się, że to środek nocy. Przez szpary okiennic sączyły się strużki światła i było widać, że ludzie tu jednak żyją. Nigdzie żadnego neonu, żadnej tablicy czy znaku, śladu sklepu, restauracji, kawiarni czy hotelu.

O nie, przepraszam, o mały włos a byłbym skłamał – bliżej centrum trafiłem w końcu na pierwszą oznakę cywilizacji – ogrodową kawiarenkę, widać niedawno urządzoną. Nad stalowymi stolikami, zespawanymi z siedziskami, paliły się okrągłe lampiony, a przy wejściu, pierwsza jaką zobaczyłem, świetlna tablica z napisem CAFETERIA. Niewielki wybetonowany placyk otoczony był ładną zielenią. Taka jasna rodzynka w ciemnym otoczeniu. Gdzieś z zawieszonych na drzewach głośników dobiegały rytmy latynoamerykańskiej muzyki.

Ożywiłem się i z nadzieją skierowałem w tamtym kierunku – no, może jednak coś tu żyje? Po betonowych schodkach wszedłem między stoliki. Wkoło było zupełnie pusto. Z dwóch stron stało coś w rodzaju barowozów. Tylko jeden miał uchyloną część klapy i paliło się w nim światło.

Podszedłem do okienka i zajrzałem do środka. Jakaś niemłoda już Kubanka siedziała przy drewnianym stoliku nad papierami. Na tablicy na ścianie barakowozu wypisana była kawiarniana oferta – pan con..., pan con..., pan con...⁸

Już nie dociekałem, z czym ten chleb, bo nie widziałem tam nic do jedzenia. Na jednej półce stało parę butelek jakichś nieokreślonych napoi i nic więcej. Siedząca kobieta nie okazała większego zainteresowania moją osobą, może na sekundę lub dwie oderwała wzrok od przekładanych papierków. Nie wiem, czy mogłem napić się kawy – nie widziałem ekspresu. O kawę pytali wszyscy przychodzący na statek urzędnicy.

Ruszyłem dalej. Po chwili znalazłem się w centrum. Przeszedłem skwerek z trudną do określenia jakąś nowoczesną rzeźbą – parę betonowych łuków przecinających się nawzajem – co to miało symbolizować, nie domyśliłem się nigdy.

O tej porze w każdym mieście, w którym dotychczas byłem, biednym czy bogatym, życie tętniło pełną parą – tu marazm i pustka. Parę osób stało na autobusowym przystanku.

⁸ Hiszp. – chleb z...

Za skwerkiem wznosił się kościół. Stary, jeszcze „przedwojenny”. Mury miał zżarte czasem – dawno nie remontowany, a może nawet nigdy. Po schodkach podszedłem do głównej bramy. Nie otwierano jej przez lata – środek był przywalony granitowym kamieniem. Na schodach i kamiennym podejściu nie widać śladów używania. Powoli obszedłem kościół.

Na bocznych drzwiach od zakrystii przypięta pineskami niewielka kartka: HORARIO:...⁹ Podszedłem bliżej, aby przy słabym świetle pobliskiej ulicznej latarni przeczytać zawartą tam treść. Po jednej mszy trzy razy w tygodniu plus niedziela. Parafia urzęduje po dwie godziny dziennie – to wszystko. Kościół zamknięty na głucho – szkoda, lubię odwiedzać kościoły.

Gdy odchodziłem od górującej nad miastem budowli, w jednym z domów otworzyły się drzwi i wyszła przez nie młoda kobieta. Stała przed domem i zaczęła przyglądać się mojej osobie z zaciekawieniem. Ciągnęła za mną wzrok, aż zniknąłem jej za zakrętem.

Bardzo chciałem zajrzeć gdzieś do środka i zacząłem włączyć się bocznymi uliczkami w nadziei, że trafię na bardziej otwarte drzwi i okna. Żałuję, że było już ciemno i nie mogłem robić zdjęć.

W końcu dopisało mi szczęście. Usłyszałem głosy, włączony telewizor i zobaczyłem smugę wybiegającego na ulicę światła. Zaraz potem podobna sytuacja w drugim i trzecim domu. Przechadzałem się wolno w tę i na powrót, wchodząc wzrokiem do każdego wnętrza, do jakiego się dało.

Pomieszczenia bardziej niż skromne. Stare kanapy już wielokrotnie pokrywane zwykłym materiałem. Fotele od różnych kompletów równie wysłużone. W wielu pomieszczeniach były meble typu ogrodowego zespawane z drutu. Telewizory, te które widziałem, były bardzo starej daty. Na ścianach lokalne prowincjonalne obrazki.

W domach nie widać było krzątania. Większość ludzi siedziała, rozmawiając półgłosem, przy pustych stołach. Rzadko ktoś oglądał telewizję, której tu praktycznie nie ma. Pływając w tym rejonie już drugi miesiąc, na pamięć znałem to, co pokazują: wiece, akademie, przemówienia – całymi godzinami to samo.

Czasem można było zobaczyć jakiś historyczny film i to najczęściej o wyzwolicielach Ameryki Południowej (Bolivar na tapecie). Dla dzieci idzie specjalny serial rysunkowy, podobno od lat, który opowiada dzieje kapitana El Elnio (czy jakoś tam) i wyzwolenczej armii Fidela Castro – DLA DZIECI!!! RYSUNKOWY!!! Coś w rodzaju naszego Bolka i Lolka, tylko że główny bohater nie zwiedza świata i nie bawi się jak dzieci, a szablą i karabinem, mordując i paląc, przeciera drogę socjalizmowi – brrrrrryyyyy, ohyda!

Samochodów na ulicach prawie nie ma. Nie widać ani garaży, ani miejsc parkingowych. Nieliczne wraki stoją po prostu na ulicy. Klucząc ulicami, wróciłem do centrum. Na jednym z rogów dostrzegłem grupkę

⁹ Hiszp. – godziny otwarcia ...

ludzi przed szeroko otwartymi drzwiami – sami mężczyźni. Przyspieszyłem. To był całodobowy sklep! Wszedłem i... wróciłem na kubańską ziemię.

Jedynym sprzedawanym towarem były papierosy „Popular” – jak niegdyś nasze „Popularne” – najpodlejszy gatunek jaki można produkować – i wódka! To wszystko, co było dostępne. Może na zapleczu, w pozamykanych szafach był jakiś towar dostępny na kartki, ale stojąc tam czas jakiś nie zauważyłem, żeby ktokolwiek coś kupował spoza widocznej oferty.

Poszedłem dalej. Przy budynku policji większe ożywienie. Pewnie wszyscy konfidenti i donosiciele o tej porze przychodzą składać meldunki. Po drugiej stronie placu jeszcze jedna ciekawostka – apteka.

Obszerne, kwadratowe pomieszczenie. Na dwóch ścianach półki i gabloty ze szkłem. Przy długiej drewnianej ladzie stało dwanaście kobiet (policzyłem). Brudno. Kobiety wyklócają się o coś z farmaceutkami. W gablotach i na półkach dosłownie tylko kilkanaście słoików z ręcznie opisanymi naklejkami. Niżej parę tekturowych pudełek z trudną do określenia zawartością. Farmaceutka co chwila bierze jakąś receptę do ręki, czyta i oddaje podającej z przeczącym gestem. Jedna z kobiet zaczyna płakać, inne ją uspokajają, coś radzą. Stoję jakiś czas w oddaleniu od kontuaru niezauważony. W końcu młodsza z farmaceutek spogląda na mnie i pyta:

– Por favor, usted?¹⁰

Speszyłem się nieco, tym bardziej że wszystkie kobiety nagle zamilkły i spojrzały w moją stronę ze znakami zapytania w oczach. Na pewno wyglądałem na obcego i były ciekawe, co chcę kupić.

Podniosłem przepaszającym gestem rękę do góry i szybko wyszedłem. Dopiero jak zniknąłem im z oczu, gwar w aptece wrócił do normy. Zadumałem się przez chwilę. Gdyby mi przyszło kogoś chorego zostawić tutaj, jaką szansę miałyby na prawidłową opiekę? Mariel jest portem odległym od stolicy kraju Hawany zaledwie kilkadziesiąt kilometrów – samochodem pół godziny drogi. To nie jest jakaś tam zapadła daleka prowincja.

Wracając zatrzymałem się w pustej kafeterii. Usiadłem przy żelaznym stoliku pod parasolem. Byłem jedynym gościem, którego i tak nikt nie obsługiwał. Wyjąłem zabrane ze sobą ze statku cygaro, odgryzłem końcówkę i zapaliłem. Zaciągnąłem głęboki dym i puściłem go wysoko pod lampion. Przez moment przyćmił światło, ale w chwili potem, przegoniony przez rześki powiew wieczornej bryzy, odleciał gdzieś między gałęzie otaczających kafeterię palm.

Na przystanku autobusowym przed kafejką stało parę osób. Fajna latynoska dziewczyna z ciemnym chłopakiem, jakaś babcia owinięta kolorową chustą i młody biały człowiek o wyglądzie studenta, ze zwojem papierów w ręku. Jego blada twarz, okulary i kędzierzawe blond włosy zupełnie nie pasowały do otoczenia.

¹⁰ Hiszp. – Co dla pana?

Do nogi przyplątał mi się pies, chudy, wynędzniały, z szarą, wyleniałą w wielu miejscach sierścią. Wyglądał żałośnie – jak Kuba. Podniósł swój wąski pysk w moją stronę w nadziei, jak spotkany chłopak, że dam mu coś zjeść. Przekręcił łepkę to w jedną to w drugą stronę i nie widząc z mojej strony żadnej reakcji, kuśtykając na jedną tylną łapę, odszedł w sobie tylko znanym kierunku.

Kundlu kochany, góry bym ci przychylił, ale w tym kraju nie mają co jeść ludzie. Mój drugi mechanik, Kubańczyk, prosił mnie, żebym kupił dla jego rodziny kurczaki od shipchandlera¹¹, bo on ich kupić nie może, a jest na tutejsze warunki zamożnym człowiekiem. Więc kupuję dla jego rodziny żywność w wydzielonych dla obcokrajowców magazynach. Dostawca, narażając się oczywiście władzy, udaje, że dostarcza to wszystko na statek i po kryjomu przekazuje żywność jego rodzinie. Ja potrącam Miguelowi wartość rachunku z pensji i wszyscy są zadowoleni, a jego rodzina ma na jakiś czas zaopatrzenie.

Shipchandler ma tak mizerną ofertę, że nie mogę się tu normalnie zaopatrzyć. Nieosiągalne są warzywa i owoce!!! Ja i tak mogę kupić więcej niż Kubańczyk.

Siedziałem do końca cygara – à propos – cygar też formalnie nie mogłem tu kupić. Załatwiam to przez Miguela, który zna dojścia do pewnych źródeł.

Wracalem na statek tą samą ciemną drogą – zresztą innej tu nie ma. Byłem bogatszy o doświadczenia i wrażenia, których żadna lektura nie zastąpi. Wszystko, co nas otacza, jest tak względne i nierealne czasem, że gdy odchodzimy z pewnych miejsc, wydaje nam się, że to co widzieliśmy, nie może być prawdą, że to wszystko nam się śniło lub ktoś niewiarygodny nam to opowiadał.

Gdy mijalem blaszaną postać Fidela, splunałem mu pod nogi. Zupełnie nie wiem, skąd u mnie taka reakcja?!

¹¹ Ang. – dostawca statkowy, zaopatrzeniowiec.